

## Krzysztof Tyszka-Drozdowski: Archipelagi dżihadu

Ruchy lewicowe, piętnując kolonializm, przyczyniły się do wygaszenia woli politycznej i odpowiedzialności za własną strefę wpływów. Francja na powrót, i to za chwilę, stanie przed geopolitycznym musem.

Na mapie Europy znajdziemy wyspy szariat. Archipelag dżihadu ciągnie się przez cały kontynent. Są jednak miejsca, w których te skupiska są szczególnie duże. Koncentrują się one w sercu Europy i na jej obrzeżach; to z tych rubieży Zachodu płynie wsparcie utrzymujące strefy bezprawia w Paryżu czy w Brukseli.

Pomoc ta przybiera postać materiału ludzkiego (wyszkolonych zamachowców) albo sprzętu niezbędnego do przeprowadzania ataków. Bośnia złożyła w lutym tego roku wniosek o członkostwo w Unii Europejskiej; to stamtąd pochodzi największy odsetek europejskich bojowników Państwa Islamskiego (drugie miejsce przypada Belgii). Kraj służy dżihadystom za schronienie, za „przechowalnię”, w której mogą się w razie potrzeby ukryć. Broń ze strzelaniny w redakcji „Charlie Hebdo” i ta, którą posłużono się w zamachach z 13 listopada zeszłego roku, pochodziła właśnie stamtąd. Bajro Ikanović, prowadzący obóz szkoleniowy Państwa Islamskiego w północnej Syrii, czy Nusret Immamović, jedna z czołowych postaci Frontu Nusra, to Bośniacy. Sam kraj rozpada się na tereny, na których państwo rozciąga jeszcze swoją kontrolę, i takie – jak podają niemieckie służby jest to kilkadziesiąt

wiosek – gdzie powiewają czarne flagi ISIS, a reguły dyktuje Koran. Broń, a także ideologia płynie z peryferii Europy do jej centrum: Husej Bosnic, były ochotnik z 7 Brygady Mudżahedinów, jeździ po Włoszech, Niemczech czy Szwajcarii i głosi prawdy swojej wiary. Na jednym z nagrań zarejestrowano takie słowa: „wybrukujemy drogę do raję ładunkami wybuchowymi”. Wszystko zaczęło się jednak w latach 90. Wtedy formowano międzynarodowe, muzułmańskie brygady, które uczestniczyły w wojnie na Bałkanach. Środki na ich utworzenie wyłożyła Arabia Saudyjska. Zasili je ochotnicy z północnej Afryki, element zradyzalizowany; bojowy islam, tak jak infekcja, rozprzestrzeniał się bardzo szybko.

Archipelagi dżihadu rozpylone są po całej Francji, nawet Patrick Kanner, socjalistyczny minister ds. miast, musiał to niedawno przyznać. Według niego we Francji jest nawet kilkaset miejsc takich jak Molenbeek. Polityczna poprawność czasem musi ustąpić pod ciężarem faktów; jednak jak galareta wraca po czasie na swoje miejsce. Alain Juppé, faworyt w prawyborach Republikanów – najpewniej przyszły prezydent, wyraził oburzenie niedelikatnymi słowami ministra. Ta bagatelizacja problemu „dzielnic wrażliwych” (takich, w których buduje się bomby i strzela z kałasznikowów, bo właśnie to znaczy w liberalnej nowomowie „dzielnica wrażliwa”) źle wróży Francuzom, źle wróży całej Europie. Polityczna poprawność – najkrócej można ją wytłumaczyć jako brak woli politycznej w dziedzinie bezpieczeństwa – prowadzi do katastrofy. John Schindler, amerykański analityk, były pracownik NSA, mówi, że muzułmanie prowadzą na terenie Europy wojnę partyzancką. Walka z nimi jest jednak w dużej mierze nieskuteczna właśnie z powodu polityki otwartych drzwi: potencjalnych dżihadystów jest zbyt wielu, aby dało się ich kontrolować nawet przy zwiększeniu środków przeznaczonych na służby. Dla Belgów, dla Francuzów jest już za późno. Stare metody już nie zadziałają. Zresztą i tak ci, którzy chcieliby

po nie sięgnąć, są obezwładnieni przez wzgląd na humanitaryzm: belgijska policja nie ma prawa przeszukać mieszkania podejrzanego między dziewiątą wieczorem a piątą rano. Salah Abdeslam, jeden z pomysłodawców niedawnego zamachu w Brukseli, został schwytany na parę dni przed tragedią. Nie chciano jednak przemęczać go pytaniami, więc nie uzyskano od niego żadnych informacji o planowanych atakach.

Wydaje się, że służby nie są już w stanie przedstawić wiarygodnego obrazu zagrożenia. Francuscy i belgijscy prokuratorzy spotkali się na konferencji w Brukseli, żeby powinszować sobie sukcesów w walce z terroryzmem. Dwa tygodnie później bomby zabiły 32 osoby. Brak woli politycznej, zdolnej pokierować służbami, zaczadzenie ideologią *vivre ensemble* paraliżują Zachód. Do tego stopnia, że niektórzy publicyści nazywają Belgię „państwem upadłym”. Nawet najlepsze służby nie naprawią błędów politycznych. Robert Ménard, mer Béziers, wysłał do pięciu meczetów swojego miasta kwestionariusz. Jego wypełnienie pozwoliłoby ocenić, jaką działalność prowadzą meczety. Trzy z nich odmówiły przy oklaskach mediów. Wojnę z islamem – myślę, że widać to dokładnie – przegrywa się najpierw na poziomie ideologii. Europejczycy, zatruci polityczną poprawnością, nie widzą, że rozbrajają się przed agresorem.

Ruchy lewicowe, piętnując kolonializm, przyczyniły się do wygaszenia woli politycznej i odpowiedzialności za własną strefę wpływów. Francja na powrót, i to za chwilę, stanie przed geopolitycznym musem. Styczniowy atak na hotel w Burkina Faso, w którym zginęło 28 osób, był robotą algierskiego odłamu Al-Kaidy. Czułość wobec sytuacji w Algierii całkowicie uspiła lewica, preparując mit zsekularyzowanej kraju, wolnego od islamu i zacofania. W istocie toczy się tam cicha

wojna domowa pomiędzy świeckim rządem a ekstremistami, którzy opanowują społeczeństwo. Państwo znajduje się w stałej ekonomicznej zapaści. Większość jego dochodów pochodzi z sektora energetycznego, spadek cen ropy spowodował poważne tąpnięcie gospodarki. Wojskowy reżim, który rządzi w Algierii od wyjścia Francuzów, znalazł się w kiepskim położeniu. Ciężko stwierdzić, gdzie właściwie znajduje się ośrodek decyzyjny, bo w służbach przeprowadzono czystkę. Kryzys polityczny zaczął się na dobre, gdy zniknął generał Mohamed Mediène. Rządy w państwie sprawuje 78-letni prezydent Boutefilka, którego kondycja umysłowa jest nieznana. Urząd objął w 1999 roku, lecz w 2013 przeszedł drugi wylew, prawdopodobnie upośledzający część funkcji mózgowych. Od tamtej pory rzadko pojawia się publicznie, a ze społeczeństwem porozumiewa się za pomocą niejasnych listów. Brak przejrzystości politycznej i nadchodzący kryzys mogą na tyle osłabić państwo, że nie będzie ono w stanie dalej hamować islamistów. Lata 90. były dekadą krwawej wojny domowej, która zabrała ponad 200 tysięcy istnień ludzkich. Dżihadyści zostali wtedy powstrzymani przez generała Mediène'a. Algieria przetrwała późną falę arabskiej wiosny i zachowała stabilność. Jak długo będzie w stanie stawiać opór? Rozpad państwa nastąpi pod impetem powracających z Syrii bojowników i będzie równoznaczny z otwarciem zaworu imigracji; rzeka najbardziej radykalnych żołnierzy Allaha popłynie do Europy. Wśród nich bojownicy z organizacji Mokhtara Belmokhtara, ulubieńca Osamy Bin Ladena.

W niedawnym wywiadzie dla „Bilda” François Hollande zwrócił się do Niemiec, aby te zwiększyły wydatki na armię i podjęły się interwencji poza Europą. Powoli na kontynencie narasta przeświadczenie o potrzebie bardziej energicznej polityki, przekonanie, że interwencje militarne są konieczne. Ostatnim politykiem prowadzącym wojnę z dżihadem na taką skalę był George W. Bush Junior (który wygrywa

obecnie w rankingach popularności z Obamą). Najpełniejsze sformułowanie tej polityki znajdziemy w książce neokonserwatywnego publicysty, Normana Podhoretza – *The IV World War*.

Podhoretz wyjaśnia nam, że jesteśmy w samym środku czwartej wojny światowej. Trzecią była Zimna Wojna: walka ideologiczna obejmująca cały glob, z dwoma zbrojnymi konfliktami na dużą skalę (Koreą i Wietnamem), z kryzysem nuklearnym na Kubie i napięciami od Tajwanu po Berlin. Czwarta dopiero się zaczęła i potrwa – pisze autor – tyle, ile konfrontacja Stanów Zjednoczonych z Sowietami. Tak samo jak tamto, jest to w istocie starcie dobra ze złem, walka – jak to ujmuje Podhoretz – wolności z islamofaszysmem. Społeczeństwa mają trudności z przyznaniem, że taki jest stan rzeczy. Słabe albo niezdecydowane, nie chcą widzieć zagrożenia, wolą udawać, że go nie ma. Aby uzasadnić swoją bierność, budują subtelny system kłamstw. Podobnie było za czasów Zimnej Wojny, kiedy wielu ludzi na Zachodzie większego niebezpieczeństwa dopatrywało się w Trumanie i USA, niż w Stalinie i ZSRR. Zwyciężyć w czwartej wojnie światowej, to wygrać najpierw na Zachodzie, to wygrać wojnę idei. Usunięcie klisz islamofobii, *vivre ensemble* i politycznej poprawności pozwoli utorować drogę właściwym decyzjom politycznym.

Sformułowaną przez siebie Doktrynę Busha autor sprowadza do dwóch punktów. Po pierwsze – wyprzedzające uderzenie na te kraje islamskie, które w nadchodzącej przyszłości mogą wyposażyć się w arsenał nuklearny, chemiczny bądź biologiczny i w ten sposób zagrozić wolnemu światu. Po drugie – propagowanie wolności i demokracji, czyli walka z islamofaszysmem, totalitarną ideologią wywiedzioną z Koranu.

Doktryna Busha ma jedną słabą stronę. Nieszczególnie udało się przełożyć ją na rzeczywistość, na realne, udane posunięcia. Autor broni tutaj wojny w Iraku, bo jeśli interwencję w Iraku uznać za klęskę, chybiona musi być cała koncepcja. Kampania iracka w trzy tygodnie przyniosła zwycięstwo, obaliła – pisze – jednego z najgorszych tyranów na świecie, dała już czterokrotne demokratyczne wybory i demokratyczną konstytucję, a Irakijczykom ponadto – wolność, o której nawet nie marzyli. W tym miejscu, tak uważam, neokonserwatyzm – myśl bardzo nam potrzebna – degeneruje się w demokratyczny dogmatyzm. W ideologię, która ocenę każdego przedsięwzięcia uzależnia od stopnia demokratyzacji, jaki udało się osiągnąć. Kiedyś, za czasów Reagana, przykładano inną miarę. Jeane Kirkpatrick, jedna z głównych doradczyń prezydenta, wyłożyła zasady amerykańskiego realizmu w programowym artykule pod tytułem *Dictatorships and Double Standards*. Trzeba odróżnić, tłumaczyła, reżimy totalitarne (jak Rosja sowiecka) od autorytarnych; o ile z tymi pierwszymi nie można się dogadywać, o tyle te drugie należy popychać w stronę demokracji. Nie należy jednak dążyć do ich demokratyzacji za wszelką cenę. Wymuszanie ustroju na krajach, które dogadują się ze Stanami, może skończyć się destabilizacją, a takie upadłe państwo padnie łupem komunistów. Od tamtego czasu neokonserwatyzm, najbardziej ofensywna ideologia amerykańska ostatnich dziesięcioleci, utracił swój realistyczny rdzeń. Demokrację ceni wyżej niż stabilność w regionie – liczba przeprowadzonych wyborów jest ważniejsza od liczby ofiar, które spowodowała interwencja i które jeszcze pochłonie trwający chaos.

Europejska doktryna – to z nią musimy wejść do czwartej wojny światowej – powinna zachować Reaganowską roztropność. Algieria nie stanowi wcielenia demokracji, jaką sobie wymarzyliśmy w Berlinie czy Brukseli. Odsunięcie od władzy rządzącego tam reżimu w imię praw

człowieka czy innych szlachetnych pobudek skończyłoby się potopem uchodźców zalewających Europę i kolejnym upadłym państwem – problemami, z którymi nikt nie potrafi sobie poradzić. Kryzys ekonomiczny i polityczny w Algierii dotyczy bezpośrednio naszego kontynentu. Umiarkowanie, docenienie wartości, jakie niesie porządek – taki realizm zawiera w sobie wielką moralną godność. Nie uzyskuje się jej przez skandowanie humanitarnych haseł i rozsadzanie struktur państwowych (interwencją wojskową czy popieraniem protestów). Wspomaganie tych krajów, które są sojusznikami w walce z islamem, powinno się łączyć z surową, nieugiętą postawą wobec tych, którzy terrorystów wspierają. Chodzi mi tu o Arabię Saudyjską i jej króla, Salmana. Jego przyjazne stosunki z Al-Kaidą są powszechnie znane. Dżihadystów wspierał i nadal wspiera milionami, a mimo to głowy państw odnoszą się do niego z rewerencją, Arabii Saudyjskiej nie spotyka też żaden międzynarodowy ostracyzm. Zanim Europie uda się zdusić islamofaszyzm, musi zrozumieć, że nieprzyjaciołom, którzy życzą nam śmierci, nie wręcza się Legii Honorowej.